W CISZY GALWAY

KEN BRUEN

W CISZY GALWAY

Tłumaczył
Marcin Żuchowski

Wizard Media

Tytuł oryginału:
In the Galway Silence

Copyright © 2021 by Ken Bruen
Copyright for the Polish edition © 2021 by Wizard Media Ltd.
Copyright for the Polish translation © 2021 by Wizard Media Ltd.

Żadna część ani całość książki nie mogą być publikowane i reprodukowane w jakiejkolwiek formie bez uzyskania wcześniejszej, pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to również rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych i internetu.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja: Przemysław Zgudka
Redakcja techniczna: Beata Bieniada
Korekta: Małgorzata Boruta
Projekt okładki: Bluejay Media
Zdjęcie na okładce: © iStock.com/rihardzz

ISBN 978-1-9998158-9-9

Wydanie I

Wydawca: Wizard Media
Wizard Media Wydawnictwo
wizardmedia.com.pl

Książka ta jest dedykowana
Michaelowi
Bec
Chrisowi
Crowellowi
oraz
wspaniałej Marie Lee, esencji Łaski,
wraz z Leonem, menedżerem Dubray's

Jean i Claude Renaud byli bliźniakami.

Okropnymi bliźniakami.

Naprawdę okropnymi.

Prawdziwymi *Les enfants terribles*.

Ich ojciec był Francuzem, a matka pochodziła z Galway.

Na osiemnaste urodziny dostali bliźniaczo podobne sportowe samochody. Nieważne, że żaden nie umiał prowadzić. Ojciec-chciwiec zbił fortunę na jednym z pierwszych funduszy hedgingowych w Irlandii i był na tyle sprytny, by zdążyć się wycofać, nim spadło ostrze bessy. Potem zainwestował w nieruchomości i zgarnął jeszcze więcej.

Zamiast trafić do pierdla, został honorowym obywatelem miasta.

Bliźniacy w dniu urodzin wybrali się na wielką wycieczkę po pubach.

Wzięli pigułki
ecstasy,
speeda,
kokainę,
popijając je Jackiem Danielsem.

A czy przyniosło im to jakąś radość?

Gdzie tam.

Wzmocniło tylko poczucie, że są lepsi. Mając zakaz wstępu

do klubów wzdłuż Quay Street, skierowali się w stronę Spanish Arch, szukając większych kłopotów. Ujrzeli mężczyznę skulonego na wózku inwalidzkim przy brzegu molo. Jean zaproponował:

– Zabawmy się z tym niedorozwojem.

Claude krzyknął:

– Hej, kaleko!

Jean pojawił się z tyłu wózka, a Claude nadszedł od przodu. Na chwilę zapanowała absolutna cisza, a potem mężczyzna rzucił się i walnął Claude'a w krocze, po czym wstał z wózka i uderzył Jeana otwartą dłonią w gardło. Pospiesznie wcisnął ich obu na wózek i przymocował taśmą izolacyjną; złapał Jeana przy ustach i nałożył mu na wargi szczodrą dawkę mocnego kleju, a potem to samo zrobił Claude'owi.

Wreszcie wyjął kartkę z wiadomością, zawiniętą w celofanową folię, przyczepił ją do pleców bliźniaków, odsunął się i mocnym pchnięciem posłał ich do wody.

Poczekał, aż woda się uspokoi po ich szaleńczych podrygach, i zadowolony, że mógł odczytać wiadomość, odwrócił się na pięcie i odszedł w swoją stronę.

Irlandczycy
zniosą
prawie wszystko,
z wyjątkiem ciszy.

Byłem szczęśliwy

Niewiarygodne, wiem.

Przeżyłem prawie każdą możliwą traumę i dotarłem do myśli samobójczych, a potem

sprawy przybrały gorszy obrót.

Przyjaźniłem się z zakonnicą – tak samo mało prawdopodobne jak moje szczęście, ale prawdziwe. Wiele lat temu jej pomogłem i pozostaliśmy przyjaciółmi. Przedstawiła mnie swojej kuzynce Marion i pojawiła się iskra.

Rozważaliśmy nawet zamieszkanie razem. Przeprowadziłem się do nowego mieszkania przy Salthill Promenade. Duże, przestronne miejsce

z olśniewającym widokiem na ocean. Przez ostatnie kilka lat byłem

zaangażowany,

uwikłany,

bezradny

w relacji z zabójczo niebezpieczną gotycką punkówą zwaną Emily lub Szmaragdowa. Wprowadzała ona w życie wszelkiego rodzaju mordercze zamiary aż do chwili, gdy niechętnie zdjąłem ją z planszy.

A teraz słuchajcie tego.

Zostawiła mi kupę kasy.

I bądź tu mądry.

Stąd też nowe mieszkanko, a dzięki niemu również nowe spojrzenie na świat.

Zylion razy probówałem ograniczyć picie. Tja, bla bla bla. Ponieważ Marion lubiła się napić, póki co cieszyłem się odrobiną wolności. Nie czułem potrzeby, aby wspominać o drobnym problemie z xanaxem. Przestałem też ludziom dokładać, w każdym znaczeniu tego słowa.

Marion przyszła z własną historią: mianowicie z synkiem.

Dziewięciolatek; chciałbym móc powiedzieć, że przy pierwszym spotkaniu się zakumplowaliśmy i później wspólnie chodziliśmy w ciepłe dni na mecze hurlingu.

Jasne.

Marion przyprowadziła go do GBC – mojej ulubionej restauracji, bo wciąż tam serwowali staroświeckie żarcie, a w menu nie podawali liczby kalorii. Nim zdążyłem się odezwać, jęknął:

– Czemu nie poszliśmy do McDonalda?

Wyciągnąłem dłoń ze słowami:

– Jestem Jack.

Spojrzał na nią, jakby należała do zakażonego, i zadrwił:

– Kto w ogóle ściska ręce w naszych czasach?

Puściłem to mimo uszu.

Westchnął i powiedział:

– Jestem Jeffrey.

A przynajmniej tak usłyszałem.

– Miło cię poznać, Jeffrey.

Uniósł brwi tak wysoko, że prawie przebiły sufit.

– Powiedziałem „Joffrey".

– Słucham?

Spojrzał na swoją matkę i odparł:

– Ty mu powiedz.

Wyjaśniła z lekką nutką histerii w głosie:

– Tak jak Joffrey w *Grze o tron*?

Gapiąc się na mnie, zapytał:

– Wiesz, co to jest, prawda?

Brzmiał jak człowiek zmęczony życiem.

Odrzekłem:

– Joffrey to ten zepsuty gówniarz, którego otruli.

Siedziałem w Garavan's, pijąc czarną kawę zmieszaną z Jayem. Czytałem ostatnie potworności o Trumpie. Le Pen ciskała gromy we Francji, a cała Europa pogrążała się w chaosie.

Gdy człowiekowi się uda dorwać lożę na boku, jasne jest, że nie szuka towarzystwa. Przede mną pojawił się olbrzymi facet, blokując dopływ światła, i mruknął:

– Taylor.

Był w tym przedziale kiepskiego piątego krzyżyka, z pasemkami strąkowatych blond włosów niepewnie trzymającymi się skóry głowy.

Z niepokojem wyczułem od niego lekki zapach pudru dla niemowląt.

U dorosłego mężczyzny to przyprawiało po prostu o gęsią skórkę.

Odparłem:

– Jestem zajęty.

Stanął tuż przede mną i położył na stole stosik fotografii.

– Jestem Pierre Renaud. Słyszał pan o mnie.

To nie było pytanie.

Odrzekłem:

– Nie.

W jego głosie pobrzmiewała nutka akcentu, jak u tych, dla których angielski jest drugim językiem.

Powiedział:

– Pięć lat temu zostałem Człowiekiem Roku.

Zanim zdążyłem z tego zakpić, dodał: – Moi ukochani synowie, zobacz, zamordowani.

Spojrzałem na zdjęcia i dostrzegłem dwóch młodzieńców skrępowanych

i obrzmiałych na

wózku inwalidzkim?

Zapytałem:

– Czy do jednego z nich przypięta jest kartka?

– Tak.

Nie mogłem odczytać słów.

– Co tam jest napisane?

Wziął głęboki wdech, a potem odparł:

– *Cisza*.

Spróbowałem:

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty.

Wyraźnie go wkurzyłem.

– Pańskie kondolencje nic dla mnie nie znaczą.

Wyjął grubą kopertę, rzucił ją obok mojej pustej szklanki i dodał:

– Znajdzie pan sprawcę tej przerażającej zbrodni i przyprowadzi do mnie.

Odsunąłem kopertę na bok.

– Nie znajdę.

Zszokowałem go.

– Odmawia mi pan?

Wstałem, przepchnąłem się obok niego, zamówiłem następną kolejkę,

a potem wróciłem do loży, gdzie on wciąż stał. Usiadłem i wznowiłem czytanie gazety.

Nachylił się do mnie ze słowami:

– Zrobisz to dla mnie.

Było mi naprawdę przykro z powodu jego tragedii, ale naciski zaczynały mnie nużyć.

– Idź pan z tym na policję.

Prychnął z pogardą.

– Imbecyle.

Wzruszyłem ramionami – nigdy tego nie robiłem, ale czułem, że było to przynajmniej we francuskim stylu. Zebrał z powrotem fotografie i rzucił:

– *À bientôt*.

Zdecydowanie zabrzmiało jak:

„Pierdol się".

Jednym z ważnych elementów sztuki konwersacji jest cisza.

Marek Tulliusz Cyceron

Nie chciałem prowadzić śledztwa w sprawie morderstwa bliźniaków. Ponowne zanurzenie się w mroku nie było drogą, którą chciałem podążać. Sponiewierany i poraniony przez wszystkie straty, które poniosłem w poprzednich sprawach – ledwo udało mi się przeżyć. Pobicia, ataki – zostawiły mnie z:

okaleczonymi palcami,

problemami ze słuchem,

utykaniem,

morderczymi koszmarami,

no i

śmierdzącą kupą lęku, którą xanax ledwie utrzymywał pod powierzchnią. Mając nową kobietę w moim życiu i będąc szczęśliwy, tak naprawdę po raz pierwszy, miałbym zaryzykować to wszystko?

Nie.

Ale.

Właśnie to „ale" tak wiele razy zwiodło mnie na manowce.

Szelmowska ciekawość nie dawała mi spokoju, więc uznałem: ogólnikowe pytania nikomu nie zaszkodzą.

Wciąż został mi wśród policjantów jeden sojusznik-przyjaciel.

Owen Daglish.

Był pijakiem na epicką skalę i to mogło nas łączyć. Gdy do niego zadzwoniłem, jęknął i rzucił:

– Jeśli chcesz informacji w dowolnej sprawie, od razu się odpieprz.

Zrobiłem to, co się robi w takich sytuacjach.

Skłamałem.

Odpowiedziałem:

– Hej, po prostu chcę ci postawić piwo.

Spotkaliśmy się w Stage Door. Brzmi jak pub z zacięciem teatralnym i zwykle jest sporo dramacików, ale jeśli znajdziesz się tam wczesnym popołudniem, panuje spokój. Owen już siedział przy kontuarze i męczył piwko. Na mój widok powiedział do barmana:

– Dwa duże Jamesony.

Barman był przyjezdny; spytał:

– Z lodem?

„Z lodem? No wiesz".

Owen spojrzał na niego znacząco i odparł:

– Nie, jeśli chcesz żyć.

Mój kumpel był ubrany w tanią marynarkę i jeszcze tańsze buty, a jego włosy domagały się fryzjera. Wyglądał jak gość, który ostatnio pił odrobinę za długo. Zacząłem od:

– Wyglądasz, yyy… nieźle.

Roześmiał się i odparł:

– Spieprzaj.

Dostaliśmy drinki bez lodu i przenieśliśmy się do stolika w rogu, gdzie Owen wyjął srebrną rurkę i przyssał się do niej.

Zaciągnął się e-papierosem.

Wydmuchnął chmurkę oparu ponad naszymi głowami.

– Musiałem rzucić fajki, więc zostało mi to…

Spojrzał na rurkę.

– To gówno.

Zapytałem:

– Co wiesz o bliźniakach, których skrępowano i wrzucono razem do rzeki?

Westchnął głęboko.

– Myślałem, że już się w to nie bawisz.

– Nie bawię się, serio, ale – no wiesz – brzmi jak dziwna sprawa.

Potrząsnął swoją pustą szklanką i zamówiłem dolewkę. Dla siebie wziąłem pojedynczego Jaya. Później miałem się spotkać z Marion, więc musiałem się dobrze sprawować. Wzniosłem toast:

– *Sláinte*.

Nie dołączył się, rzucił:

– Klej Superglue.

– Słucham?

– Tym mieli zaklejone usta.

– Boże w niebiosach.

Wziął głęboki łyk i odrzekł:

– Trzeba być nieźle rąbniętym skurwielem.

Spytałem:

– Ich ojciec, Renaud – co o nim wiesz?

Wtedy się obrócił i spojrzał mi prosto w oczy.

– Cholernie cię to interesuje jak na faceta, który nie prowadzi śledztwa.

Czas zabulić.

Wyjąłem płaską kopertę.

– Małe co nieco na fundusz policyjny.

Pospiesznie wsadził ją do kieszeni, a potem odparł:

– Jack, mówię serio, lepiej trzymaj się od tego z dala. Renaud siedział po uszy we wszelkiego rodzaju przekrętach z funduszami hedgingowymi. Nie chcesz się mieszać do spraw takiego gościa.

Aby rozładować nastrój, powiedziałem:

– Owen, doceniam twoją troskę. Nawet się wzruszyłem.

Roześmiał się drwiąco.

– Jack, nie mógłbym mieć bardziej w dupie, co się z tobą stanie.

I tym optymistycznym akcentem się pożegnaliśmy.

Marion pracowała jako logopeda i dostała szansę wzięcia udziału w konferencji w Stanach.

Uczestnictwo w konferencji w USA było jak wygrana na mini-loterii w Irlandii. Zazwyczaj w tej ściemie brała udział połowa rządu. Nie zapominajmy o wszystkich kosztach podróży do zwrotu. Poprosiła:

– Jack, poleć ze mną.

Phi!

Przez tak wiele lat próbowałem się dostać do Stanów. Moje największe marzenie, ale zawsze coś się sprzysięgało, by pokrzyżować mi plany. Zwykle ja sam. Życie to dziwka. Właśnie gdy już porzuciłeś nadzieję, nagle się zakrada i kopie cię w dupę.

Odparłem:

– Nie.

Tak zimno, jak brzmi to słowo.

Zaskoczyłem ją i dopiero po paru chwilach zapytała:

– Dlaczego?

Odpowiedziałem:

– Kiepski moment na to.

Obdarzyła mnie krótkim, smętnym uśmiechem.

– Mógłbyś trochę rozwinąć?

Zawsze miałem nadzieję, że nie zostanę jednym z tych dupków skomlących:

„Musisz mi zaufać w tej sprawie".

Powiedziałem:

– Musisz mi zaufać w tej sprawie.

Rozważała te słowa przez chwilę, a potem odrzekła:

– Pieprzę to.

Nastąpiła ta niezręczna chwila, kiedy w zasadzie masz ochotę rzucić wszystko i zwiać. Dojrzałą rzeczą była rozmowa.

Omówienie sprawy,

wspólne przemyślenia,

pójście na kompromis itd.

A ja zwiałem.

Joffrey stał w drzwiach. Gdy go mijałem, rzucił:

– Dupek.